



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Redakcja i administracja w domu przy ul. **Hożej № 52, m. 4, na dole;** otwarte, codziennie, prócz niedziel i świąt, od godz. 10-ej z rana do 7-ej z wieczora.

Prenumerata kwartalna w **Warszawie 1 rb.** z przes. poczt. **1 rb. 25 kop.**

Nr. 42.

Warszawa, d. 15 (2) Października 1904 r.

Rok III.

JOZEF GIEYSZTOR.

Na Dalekim Wschodzie.

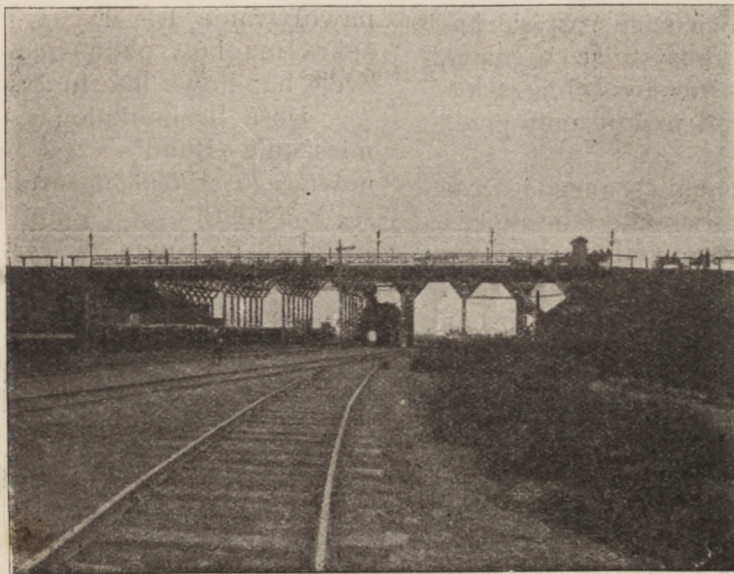
(Dokończenie.)

Z miast większych przejechaliśmy Cin-dzou albo Kindzou, szeroko rozrzucone śród drzew nad brzegiem zatoki Towarzyskiej, oraz Hajpin albo Gajdzou, również nad samym morzem — choć już w północnej części Laodunu, z dużemi warzelniami soli. Wszystkie stacje kolejowe na południowej linii miały wygląd małych fortec, gdyż otoczone były wysokim murem ze strzelnicami, — ostrożność, którą zaprowadzono po ostatnich rozruchach chińskich, kiedy cała południowa linja kolei, aż do Charbina, uległa w zupełnem zniszczeniu.

Od Dasziciao, stacji węzłowej, zboczyliśmy na odnogę kolejową, prowadzącą do Inkou.

Inkou albo Niuczwang jest to duży port chiński przy ujściu rzeki Lao do zatoki Laodun. Przed zbudowaniem kolei w tym porcie

CHARBIN.



Wiadukt, łączący przystań z Nowym Miastem.

(Fotografia inż. Eberarda Ossera.)

ześrodkowany był cały handel zewnętrzny Mandżurji. Stąd wywożono do Chin środkowych oraz do Japonji olbrzymie ilości bobu, oleju bobowego i wytłoczyn, do Europy — wełny, futer i jedwabiu; stąd też rozchodziły się po całej Mandżurji wyroby europejskie, amerykańskie i japońskie, jak tkaniny, wyroby żelazne, nafta, cukier, galanterja. Po przeprowadzeniu kolei, część potrzeb Mandżurji zaspokoja

została przez import z Rosji *via* Syberja i Dalni, ale pomimo to Inkou pozostał zawsze portem dużego znaczenia.

Przyjechaliśmy do Inkou już późno wieczorem. „Co to, iluminacja?” Nie, to setki latarni papierowych w rękach chińczyków, zalegających peron i plac wokół stacji i snujących się w rozmaite strony. Przez otwarte drzwi wagonu wdziera się zmieszany hałas setki głosów, miękki szelest wołkowego obuwia i nieodstępujący chińczyka zapach oleju bobowego. Jesteśmy znowu w Chinach.

Ponieważ pociąg kolei Północno-Chińskiej odchodził do Pekinu nazajutrz o godzinie 7 rano, postanowiliśmy przeto noc spędzić w wagonie. O godz. 5 w nocy obudzono nas, oznajmiając, że zamówione z wieczora „fudutunki” — dorożki chińskie, już nas oczekują. W parę minut później siedzieliśmy z najwygodniej wyciągniętymi nogami w głębi pudła, ustawionego na dwóch kołach, a na dyszelkach przysiadł bokiem woźnica z latarką w ręku, poganiając rosnącego muła.

Cztery wiorsty, oddzielające Inkou od miasta, jechaliśmy prawie godzinę. Fudutunka wraz ze swoją zawartością t. j. nami, wyprawiała rzeczy nadzwyczajne po grudzie, wybojach i jamaach, z których składała się droga. Zużywaliliśmy z B. moc wysiłku i energii, aby jakkolwiek zachować równowagę i ochronić głowy przed rozbiciem, ale coraz to któryś z nas sykał z bólu lub przeklinał, uderzając głową o ściankę pudła lub brodą o własne kolano.

Przed wjazdem do miasta zastanowiło nas osobliwe zjawisko. Pośród pola stał biały statek wojenny, oświetlony elektrycznymi lampami, z kilkoma sztyldwachami na pokładzie. Była to, jakęśmy się później dowiedzieli, rosyjska kanonierka „Siwucz”, stale konsystująca w Inkou, którą na zimę wprowadzono do osobnego kanału dla zabezpieczenia od uszkodzenia przez lody.

Kiedyśmy, po przejechaniu sennego jeszcze miasta, przybyli nad brzeg Lao-che (che-rzeka), stała się rzecz przykra. Z powodu przypływu dużej ilości kry z górnej północnej części Lao, komunikacja parowcowa na rzece została wstrzymana. Dla przedostania się przeto na drugi brzeg, gdzie znajdowała się stacja kolei Północno-Chińskiej, należało wyszukać łódź i chętnego przewoźnika. Zanieśmy to zrobili, zanim następnie przeprawiono nas nie bez trudu i nawet pewnego niebezpieczeństwa przez pokrytą ruchomym lodem rzekę, zanim wreszcie dotarliśmy do stacji kolejowej—pociąg gwizdnął i odszedł przed samym naszym nosem.

Ponieważ pociągi na kolei Północnej, eksploatowanej przez rząd chiński, chodzą raz

na dobę — w nocy bowiem wszelki ruch na kolei ustaje—przeto czekała perspektywa spędzenia jeszcze jednej nocy w wagonie, powtórnej podróży „fudutunką” i nowej przeprawy przez rzekę. A że nadto zachodziła obawa, iż w drodze powrotnej możemy trafić na taką chwilę, że rzeka stanie i przeprawy przez nią żadnej nie będzie, przeto zdecydowałem się wyrzec na ten raz podróży do Pekinu, odkładając ją do wiosny.

Decyzja ta zmartwiła ogromnie B., którego do Pekinu pociągały znajomości i stosunki, zawiązane podczas kilkoletniego pobytu tam w charakterze profesora języka rosyjskiego w uniwersytecie. Po naradzie przeto postanowiliśmy, że ja z Dżanem wracam do Charbina, a B. jedzie do Pekinu, decydując się wracać morzem na Tien-tsin, Taku i Dalni.

Mój pociąg odchodził dopiero wieczorem, wróciliśmy tedy wszyscy razem do miasta i po zainstalowaniu się w angielskim „Manchurian-House”, udaliśmy się na włączkę. Inkou mało się różni od innych miast chińskich pod względem zewnętrznym, wyodrębnia go zato ogromny ruch handlowy, ześrodkowany na rzece i wybrzeżach. Setki dżonek przychodzą tu codzień w porze nawigacyjnej, przywożąc z północy zboże i produkta surowe, na które oczekują liczne parowce dla odstawienia ich do Chin wewnętrznych i Japonji. Kolo obszernych składów towarowych tłoczą się tysiące arb, które następnie długimi karawanami rozwożą wyroby europejskie po Mongolji i Mandżurji. Nad całym tym ruchem góruje hałas, spowodowany przez setki głosów ludzkich, nawoływanie tragarzy i poganiaczy mułów, śpiew majtków, podnoszących żagle, ryk osłów. Życie handlowe bije tu żywym tętnem.

Dość liczna kolonja europejczyków zamieszkuje „Bund”—część wybrzeża Lao, stanowiącego *settlement* europejski. Tu mieszczą się konsulaty oraz komora celna chińska, pozostająca na równi ze wszystkimi komorami Chin pod umiejętnym kierownictwem Sir Roberta Harta, Anglika. Kierownictwu temu zawdzięczają też Chiny ogromny wzrost dochodów celnych, stanowiących obecnie jedno z najważniejszych źródeł dochodów państwowych.

Wieczorem, po pożegnaniu się z B., opuściłem Inkou, udając się z Dżanem z powrotem do Charbina. Po drodze zatrzymaliśmy się na pół dnia w Mukdenie, stolicy Mandżurji.

Kilka wiorst, oddzielających miasto od stacji, przebyliśmy, pomimo wczesnego ranka na riksach, dyżurujących przy dworcu dnie całe. Zaraz za stacją minęliśmy starożytną

pagodę z wieżą oryginalnej, jakby warstwowej budowy, i wyjechaliśmy na szeroki trakt. Miejscowość była zupełnie równa. Góry znikły z widnokręgu. Do miasta dążyły razem z nami biedki, naładowane jarzynami, arby z towarami, liczni przechodnie.

Po półgodzinnej jeździe stanęliśmy przed wysokim murem z cegły niepalonej, okalającym miasto. Przez dużą dwupiętrową bramę, pod którą stali na straży dwaj żołnierze — rosyjski i chiński, wyjechaliśmy na główną ulicę Mukdenu.

Miasto wstawało dopiero ze snu. Kupcy otwierali sklepy, przekupnie ustawiali stragany, dostawcy warzywa wyładowywali wozy. Mając na celu uczynienie zakupów „chińszczyzny”, rozpocząłem z Dżanem wędrówkę po

CHARBIN.



Prospekt Sungaryjski.
(Fotografia inż. Edgarda Osera).

sklepach. Najciekawsze rzeczy znalazłem u antykwaryuszów: starożytne kadzielnice, posążki bożków, pieczętki, rżnięte w kamieniu, starą broń. Wyroby te nie ustępowały japońskim, były jednak od nich drożej sprzedawane. Zato wyroby tegoczesne: jedwabie, hafty, lub drobniaki w rodzaju fajek do tytoniu lub opjum, wazonów malowanych lub „cloisonée”, ani się umyły do rzeczy, widzianych w Japonji.

Przy tej sposobności zwiedziłem całe prawie miasto. Było to niewątpliwie największe miasto, widziane w Mandżurji, pozatym jednak zachowało ono w zupełności ten sam, co i w innych chińskich miastach, charakter. Takież ulice niebrukowane, z drewnianymi chodnikami, sklepy w większej części otwarte, tylko bogatsze, takież mury, bramy i wieże, tacy sami przechodnie, o tej jesiennej porze ubrani w watowane kurmy i spodnie, o twarzach

sympatycznych i dobroduszych. Do osobliwości miasta należy pałac cesarski, w którym przechowywane są pamiątki po Nurchacim, założycielu dynastji mandżurskiej. Próba obejrzenia pałacu spełzła na niczym, gdyż wymagano okazania przepustki, którą wydaje kancelarja dzień-dziunia, a na wystaranie się jej było już zapóźno, ograniczyłem się więc do obejrzenia zewnętrznego obszernych dziedzińców, wykładanych płytami kamiennymi i porośłych obecnie trawą, licznych gmachów oryginalnej budowy, zapelniających wnętrza dziedzińców, kilku świątyń wśród drzew, przepysznej filigranowej wieży z majolikowym dachem i t. d.

Dla tej samej przyczyny — braku czasu — nie zwiedziłem znajdujących się w pobliżu miasta słynnych grobów cesarskich, gdzie chowani byli pierwsi bogdychanowie z dynastji mandżurskiej. Groby te znajdują się w obszernym gaju, podzielonym na kilka części — i zawierają podobno niezrównane skarby budownictwa i rzeźby chińskiej z czasów ich rozkwitu. Słynną jest „aleja zwierząt”, ustawiona z obu stron kolosalnymi wyobrażeniami słoni, wielbłądów itd., kutych w kamieniu.

Przed zapadnięciem wieczora wróciłem z powrotem na stację kolejową, aby trafić na pociąg pospieszny, odchodzący do Charbina. W oczekiwaniu nadejścia pociągu wyszedłem na peron. Pod ścianą siedziało kilku tragarzychińczyków, a opodal rozmawiał żołnierz straży pogranicznej, pełniący tu służbę straży kolejowej z policjantem chińskim, uzbrojonym jedynie w kij, którym zresztą posługują się oni znakomicie. Do uszu dolatywał specjalny żargon miejscowy, w którym słowa rosyjskie przeplatane były chińskimi lub schieńszczonami.

Uwagę moją zwrócił temat rozmowy. Żołnierz-malorusin opowiadał chińczykowi o swoim kraju. W słowach prostych, lecz silnych uczuciem mówił on o dalekiej ojczyźnie, o stepach szerokich, pokrytych złotym zbożem, o sadach wiśniowych, o białej chacie, w której czeka na powrót jego „diwezyna”. I pod wpływem tych słów płynących, zdaje się, mimo woli samego autora, który zwykł traktować chińczyka zgóry, protekcyjnie, owładnęło mną raptem uczucie ogromnej tęsknoty do kraju, do swoich. Czteromiesięczna włóczęga dawała się już we znaki i, patrząc na rozgwieżdżone niebo Mandżurji południowej, rwałem się całą duszą do naszych śnieżnych o tej porze pól i lasów. Uczucie to nie opuściło mnie na

wet, kiedym już siadł do wagonu i było poniekąd powodem, że postanowiłem wyjazd swój z Mandżurji jaknajbardziej przyspieszyć.

Istotnie, w Charbinie zabawiłem tylko kilka dni, niezbędnych dla uporządkowania materiałów i załatwienia spraw koniecznych. W tym czasie zaszczycony zostałem odwiedzinami prezesa biura dyplomatycznego prowincji giryńskiej, generała Du, rewizytującego mnie ze zwykłą tu pompą: w otoczeniu żołnierzy, laurów, tłumaczy. Jeszcze bardziej ujęła mię uprzejmość chińczyków w uroczystym pożegnaniu, jakie zorganizował z własnej inicjatywy spółtowarzysz podróży, Dżan. Wraz z gronem chińczyków, kupców i dragomanów, z którymi miałem tu stosunki, wy-

prawił on ucztę pożegnalną w chińskiej restauracji, zakończoną wyprawą do teatru chińskiego.

W parę dni potem, żegnany przez towarzyszków podróży i znajomych, siadłem do wagonu i wkrótce wytworny „ekspres Dalekiego Wschodu” unosił mię szybko na zachód. Z chwilą ruszenia pociągu poczęły spadać pierwsze płatki śniegu i opuściłem Mandżurję, pogrążoną już w śnie zimowym. Patrząc na bezmierne obszary, tonące w ciszy, nie przypuszczałem, że spokój ich będzie tak prędko i tak brutalnie zakłócony.

K O N I E C.



Z wycieczek botanicznych.

II. Na torfiastej łące.

W słoneczne popołudnie sierpniowe idziemy śród rżysk i kartosli szeroką piaszczystą drogą, prowadzącą od stacji Mrozy ku Liwcowi, Kulfewu i het, dalej. Przeszliśmy już Wołę Rafałowską, gdzie budują właśnie sanatorium dla suchotników, mijamy już i folwark Liwiec. W dali czernieją na horyzoncie lasy, ku którym — zgrzani i zapyleni — spoglądamy z utęsknieniem. Lecz oto zjawia się przed nami, jak odpoczynek dla znużonych oczu, zielona, białym i czerwonym kwieciem zasłana łąka. Zbaczamy na nią i stąpamy z przyjemnością wąską ścieżką nad brzegiem napelnionego wodą przekopu, pojąc oczy barwami, a powonienie zapachem kwiatów, których jest tu mnóstwo, mimo, że mamy już połowę sierpnia.

Na brzegach rowów ciągną się zastępy wysokich krwawnic (*Lythrum salicaria* — z rodu wiesiołkowatych — *Onagraceae*) o okazałych gronach purpurowych kwiatów, oraz pokrewnych jej wierzbówek (*Epilobium*) o purpurowych również wiechach. Pręciki wierzbówki dojrzewają zwykle o wiele wcześniej niż słupki i dlatego kwiaty wcześniej rozwinięte zostają zapylane przez pyłek młodszych. Dzięki ludziom niewinna ta roślina posiada nieszcze- gólną sławę: oto używają jej do łaższowania

herbaty. Pochylając się nad temi ładnymi kwiatami, uczuwamy miły a silny zapach: to mięta wodna (*Mentha aquatica*) z rodziny wargowych (*Labiatae*), łatwa do rozpoznania po aromatycznych listkach i okółkach liljowo-różowych drobnych kwiatków. Tuż przy mięcie błękitnieje milutka niezapominajka czyli niezabudka (*Myosotis*) z rodu szorstkolistnych (*Borraginaceae*). Żółtą prawie barwą szczyca się: jaskier jadowity (*Ranunculus sceleratus*), oman łąkowy (*Inula Britannica*) o dużych wielopromiennych gwiazdach i drobniejszy jastrzębiec (*Hieracium*) — dwa ostatnie należą do licznej rodziny złożonych (*Compositae*); z przedstawicieli tej rodziny znajdują się jeszcze na łące: chaber łąkowy (*Centaurea pratensis*) o różowych, zupełnie do zwykłego bławatka podobnych kwiatach, i biały złocień (*Chrysanthemum*) zupełnie do rumianku podobny, lecz nieco większy. Śród roślin, pyszniących się barwami i kształtami swych kwiatów, niemile odbija suchy i ostry skrzyp (*Equisetum*), zawdzięczający swej wygląd wielkiej ilości krzemionki, zawartej w łodygach. Rozejrzyjmy się teraz, jakie to rośliny nadają łące miejscami prawie białą barwę: widzimy najpierw ostrożeń błotny (*Cirsium palustre*) o białawych liściach i przekwitłych już czerwonych kwiatach. Zato dla białych w wodniste żyłki kwiatków dziewięciernika (*Parnassia palustris* z rodu

skalnicowatych—*Saxifragae*) jest teraz pora rozkwitu, to też spotykamy je na każdym kroku. Kwiat ten ma pięć płatków i 5 płodnych pręcików; pręciki bezpłodne tworzą jakby siateczkę, usianą na końcach gruczołkami, która zmusza owady do wchodzenia wewnątrz kwiatu w pewien sposób, najlepiej warunkujący zapylenie. Depeąc łąkę we wszystkich kierunkach, nie domyślamy się nawet, że pod naszymi stopami rozgrywa się jedna z licznych w przyrodzie tragedji: że tu ginie jakieś życie, że morderca żyje kosztem swej ofiary. Rozgarńawszy trawę, widzimy drobne, białe w żółte i czarne kreseczki, kwiaty świetnika (*Euphrasia*) z rodz. Maskowych, napozór ładne i niewinne. Dopiero, wyciągnawszy jego korzenie z ziemi, widać, że świetnik, zamiast własnymi siłami czerpać pokarm z ziemi, wpija swe korzonki w korzenie sąsiadów i wysysa je. Przy świetniku rosną puszyste listeczki krwawnika (*Achillea Millefolium*), ale jego różowawego baldaszka kwiatów nigdzie jakoś nie spostrzegamy. Wysoko i okazale rosną ponsowe bodziszki (*Geranium*) o zabawnych, w dziobki zaopatrzonych, torebkach nasiennych, następnie firletki (*Lychnis coronaria*) z rodz. goździkowatych, o różowych, poszarpanych płatkach. Oryginalne nasionka posiadają — prócz bodziszka — obecne tu dmuchawce czyli brodawniki, inaczej mniszkami zwane (*Taraxacum officinale*), które choć pozbawione już swych żółtych kwiatów, nie bardzo zreszlą ponętnych, zwracają uwagę dużemi puszystemi kulami swych nasion. Chcielibyśmy jeszcze obejrzeć i zerwać kilka welnianek (*Eriophorum*) z rodz. ciborowatych (*Cyperaceae*) o owocach omszonych długimi, białymi włosami — ale trudno się do nich dostać, bo wi gotny grunt ugina

się pod nami. Skończymy więc przegląd obejrzeniem kozłka i kropidla, które górują wzrostem ponad wszystkimi wymienionymi gatunkami. Kozłek lekarski (*Valeriana officinalis*) ma kwiaty różowawe, zebrane w baldachy i silnie woniejący korzeń, stosowany często w medycynie. Kropidło cz. lawuła (*Spirea*) z rodz. różowatych (*Rosaceae*) posiada śliczne puszyste wiechy białych lub różowych kwiateczków.

Pozostają nam do rozpatrzenia tylko różne gatunki traw, ale że to już potraw, a przytym lato wyjątkowo suche, więc niewiele mamy przed sobą pracy: Oto w rogu łąki przy drodze widać trochę mielliczki (*Agrestis*) o kłosach rozpierzchłych, tymotkę (*Phleum pratense*), której kłosa podobne są zupełnie do małych szczoteczek, wyklinę (*Poa pratensis*) i parę innych.

Zajęcie trawami przerywa nam jakiś człowiek, który grzeecznie, ale bardzo stanowczo powiada, że po łące chodzić nie można, bo siano w tym roku bardzo drogie. Musimy przyznać mu słuszność i opuszczamy łączkę, gdzie znajduje się może jeszcze wiele nieprzejranych przez nas skarbów: torfiasty, a niezbyt wodnisty grunt nasuwa przypuszczenie, że moglibyśmy tu spotkać rosiczkę lub tłustosz. Niema się jednak czym zbyt martwić: takich torfiastych łąk spotykamy sporo w każdym zakątku kraju, więc możemy nasze spostrzeżenia uzupełnić innym razem i gdzieindziej. Tymczasem, wracając do domu zieloną miedzą, na której z rzadka ciche grusze siedzą, znajdziemy z pewnością wiele ciekawych, chociaż niepozornych roślinek, o których jeszcze pomówimy.

Jadwiga Wodzińska

PIOTR LOTI.

I N D J E.

w przekładzie
JÓZEFA JANKOWSKIEGO.



(Ciąg dalszy.)

VI. Do Benaresu.

I. U teozofów Madraskich.

„Niebo bez Boga osobowego, nieśmiertelność bez duszy określonej, oczyszczenie bez modlitwy...”

Formuła ta, wygłoszona jako wynik ostateczny, nie przestawała mi dźwiżyć żalobnie pośród ciszy, która zapadła po naszej rozmowie. Smutek zmierzchu napelniał siedzibę, która była całkiem odosobnioną, na wsi, na brzegu rzeki, pośród drzew palmowych i dziwnych kwiatów wielkich. Na szybach witrażowych, oświetlają-

cych jeszcze surową bibliotekę, w której się znajdowaliśmy, gasły powoli małe przezrocze obrazki, wyobrażające w kawałkach szkła kolorowego wszystkie emblematy wiary ludzkiej, złączone tu jak w muzeum pośmiertnym: krzyż Chrystusa, pieczęć Salomona, trójkąt Jehowy, lotus Sakya-Muni, widelki Wisznu, symbole Izidy. Był to dom teozofów madraskich, o których opowiedano mi rzeczy najcudowniejsze; tak, że nie wierząc w to wcale, nie mniej udałem się tutaj, w ostatnim kołataniu, by wyżebrać nieco otuchy. I oto co mi ofiarowali: zasadę zimną, lodową, buddyzmu, już mi znanego, światło [meo własnego] rozumu!..

— Modły? — mówili mi. — A, któż ich słuchać będzie?.. Człek jest sam przed obliczem własnej odpowiedzialności. Przypomnij pan tylko sobie prawa Manu: *Człowiek sam się rodzi; sam żyje; sam umiera; towarzyszy mu jedynie sprawiedliwość...* Któż więc słuchać będzie tych modłów? Kogóż chwalić pan będziesz, gdy sam jesteś Bogiem? *Należy siebie chwalić, czynami swemi.*

Cisza tedy nastąpiła między nami, jedna z cisz najsmętniejszych, jakie przenikały kiedy moje życie. I oto zdało mi się, że pośród tej ciszy, z niepochwytym szmerem upadania w próżnię, odrywały się jedne po drugich, ostatnie me wątle a słodkie wierzenia; podmuchami mych biesiadników stręcane, bezlitośnych w rozumowaniu, stałych w swych wynikach.

Mimo to dwaj ci ludzie, dający mi posłuch, byli gościnni, dobrzy i przychylni; jeden z nich, Europejczyk, który targany naszymi wątpliwościami i naszymi trwogami, upodobał sobie to wyrzeczenie się świata, jakie niegdyś głosił wielki Budda, i został tu szefem Towarzystwa teozoficznego; drugi Hinduś, który zdobył najwyższe dyplomy i odznaczenia na uniwersytetach europejskich i powrócił następnie do Indji, nie bez pogardy dla naszych filozofów Zachodu.

— Twierdziście mi panowie, podjąłem znowu rozmowę, że macie niezbite dowody tego, iż coś z nas, jakaś cząstka naszej osobowości przechodniej, *na jakiś czas* opiera się przemocy śmierci. Czy nie możecie mi panowie dać przynajmniej tej pewności? Czy nie możecie pokazać mi tego, przekonać namacalnie...

— Możemy to dowieść panu, odrzekł mi, przez rozumowanie; dowodów atoli widzialnych — dla oczu, pokazów, — nie udzielimy. Żeby wywołać tych, których niewłaściwie nazywają umarłymi — bowiem niema wcale śmierci, trzeba wyłączać zmysłów, warunków, usposobień osobliwych. Możesz pan jednak wierzyć nam na słowo, nam i tylu innym, z gruntu zasługującym na wiarę, którzy widzieli zjawy i którzy zanotowali szczegóły. Oto tam, w tej bibliotece,

patrz pan, są książki, które o tym piszą... Gdy pan jutro pośród nas się osiedlisz, przeczytasz pan...

Było ż więc sobie zadawać trud — przyjeżdżać do tych Indji, do prastarego ogniska pierwiastkowego religii ludzkich, jeżeli to jest wszystko, co tu się znajduje: w świątyniach braminizm, zaćmiony bałwochwalstwem; tu rodzaj nowej edycji pozytywizmu Sakya Muni — i książki spirytystyczne, po całym świecie rozwłócone!..

I znowu po chwili milczenia, mając przeświadczenie, że zniżam się do ciekawości dziecięcej, poprosiłem prawie trwożnie, by mi wskazano fakirów, tych fakirów indyjskich, tak cudownie rozgłośnych, którzy *mają moc* i czynią niby cuda — pragnąc otrzymać choć jakikolwiek dowód tamtego świata, czegoś nadnaturalnego, nadludzkiego.

Hindus, siedzący naprzeciwko mnie, podniósł w górę swe oczy ascety; grymas ściągnął rysy jego twarzy surowej i delikatnej, jego maskę Dautejską, otoczoną białym turbanem:

— Fakirów?.. — odrzekł. — Fakirów? Niema już dziś fakirów.

I oto z ust tego człowieka, który posiadał najwyższą znajomość tych materji specjalnych, usłyszałem ostateczne odsądzenie mnie od wszelkiej nadziei spotkania na świecie czegoś cudownego.

— Nawet w Benares? — zapytałem trwożnie. Mniemałem, że w Benares... Zapewniano mnie...

Wahałem się z wypowiedzeniem tej nazwy Benaresu, była to bowiem ostatnia moja stawka, gdy więc i tam nawet nie na nią nie wyjdzie...

— Posłuchaj pan. Fakirzy zebrzący, fakirzy kontorsjoniści lub z własnościami znieczulenia, są jeszcze w wielkiej ilości i nie masz pan potrzeby udawać się do nas, by ich znaleźć. *Jasnowidzących atoli, mających moc*, ja znałem ostatnich. Co do tego, zaufaj pan moim słowom: byli tacy, lecz znikli z końcem wieku ubiegłego. Stary duch fakiryzmu indyjskiego już umarł. Jesteśmy rasą upadającą, przez zbliżenie się z rasami materialniej czynnymi Zachodu, które z kolei również chylić się będą do upadku; zrezygnowaliśmy co do tego upadku, jest on bowiem prawem..

Tak jest, mieliśmy fakirów, i oto, właśnie w tym promieniu przed panem, ich rękopisy przechowane...

Na witrażach, wszystkie symbole martwej religii ludzkich stały się nie do odróżnienia; noc zapadała, otulając bibliotekę surową, gdzie już było czarno, przesmutnie. Przybyłem do Madrasu w zamiarze dłuższego pobytu u teozofów, miałem się przenieść do nich rankiem jutrzejszym, i teraz powziąłem postanowienie pożegnania ich

tego wieczoru i nie zobaczenia już nigdy. Zamknąć się w tym schronisku surowym próżni i nicości, po co? Raczej, jak dotąd w życiu, bawić w dalszym ciągu oczy widokiem tego świata, który, jeżeli nawet znikomy, nie mniej rzeczywisty — na chwilę. A zresztą, co mogą obchodzić mnie ich dowodzenia nieśmiertelności, duszy, jak oni ją rozumieją? Dla tych, co kochali prawdziwie, sama myśl znikomości materji jest już męczarnią.

Cóż tedy ja i ci, co do mnie podobni, będziemy czynili z tą nieśmiertelnością, która im wystarcza? Nie, raczej potrzeba mi, jak to w chrześcijańskiej zapowiedzi, przedłużenia mojej istoty, całkowitego mocnego, świadomego i *odrębnego*, któreby mogło odnaleźć tych, których kochałem i kochać ich nadal. Bez tego — jakim cel?..

Gdym powracał drogą do miasta, była pora wielkiego hałasu wron, które społem śmierć zwiastowały, w chwili gromadzenia się do snu na gałęziach

Nauka tych ludzi, od których wracałem, zdała mi się równie płytką i dziecinną, jak małe posążki bogów z głowami słoni, wzdłuż drogi dostrzeganę, o zmroku, pod palmami i drzewami bananowemi.

Wieczorem posłałem tym teozofom list odmowny, z podziękowaniami za rozczarowanie, oznajmiający, iż przybędę jutro, atoli tylko ze stanowczą wizytą pożegnalną, bowiem postanowiłem opuścić Madras jaknajrychlej.

I w nocy ujrzałem we śnie, pośród odmiany złowrogiej starych siedzib, tak drogich memu dzieciństwu, widma blade, zeszepeczone, *na zawsze umarte*, istot, które najbardziej kochałem. Jak innej niegdyś nocy, w Jerozolimie, gdy rozchwiały się bezpowrotnie me pierwsze wierzenia młodzieńcze, sny smutne bezgranicznie, sny trwogi niewypowiedzianej, zmieniały się aż do ranka — aż do chwili, kiedy kruk na mym oknie głosem rozgłośnym wykrakał pieśń śmierci wobec słońca, które powstawało.

(G. d. n.)



Śród wyżyn Albanji północnej.

Albanja należy dotąd do najmniej znanych obszarów Europy, pomimo że w ostatnich czasach przedsiębrano w głąb jej wiele wycieczek w celach naukowych. Podróżnicy tacy jak G. Stranski, A. Baldacci, d-r K. Hassert, d-r P. Träger, d-r K. Oestreich i t. p. zaznajomili świat naukowy z tym krajem i jego ludnością. Karol Steinmetz, inżynier, zwiedził jesienią r. 1903 obszar północny Albanji i w sposób bardzo zajmujący opisał wrażenia z tej podróży w broszurze, wydanej w Serajewie p. t. „Podróż po górnej Albanji”.

Steinmetz zwiedził wilajet Skutari, gdzie spotkał na dwu krzyżujących się szlakach typ Albańczyka, nieskażony w pierwotnej czystości. Ze Skutari udał się najpierw do Duszmani, wzdłuż północnego Drinu czyli przez kanjon, położony między niebotycznymi, prawie prostopadłymi ścianami wąwozów, następnie przez przełęcz Cała Kolszit, stanowiącą słynną granicę między obszarem, zamieszkanym przez ludność katolicką a siedzibami szczepów mahometańskich. Przełęcz ta stanowi nietylko granicę etnograficzną w Albanji, ale zarazem leży na skraju dzikiej przyrody Karstu, od

którego na wschód leżą wzgórza, starannie uprawiane i żyzne łąki, położone u podnóża gór na 2386 m. wysokich, i zabezpieczających je od zimnych wiatrów północy. Stąd przez przełęcz Cała Szkols zjechał na równinę Djakowa, nie różniącą się niczym od innych posiadłości tureckich. I Prizren leży przy rozległej równinie, lecz wznosi się malowniczo na jeden z tarasów płaskowzgórza Szar, skąd droga do Kalkandale, miasteczka o 15000 ludności słowiańskiej, a dalej do Ueskubu.

Plan dalszej podróży Steinmetza uległ tam właśnie zmianie niespodziewanej. Wskutek wojowniczego nastroju ludności, władze wzbroniły mu powrócić do Prizrendu, skąd zamierzał udać się do Skutari przez posiadłości Mirdytów. Nie pozostawało mu nic innego, jak wybrać drogę okólną na Saloniki, Ateny i Korfu, którą dojechał do Skutari.

Drugi okres podróży poświęcił Steinmetz głównie Mirdytom, najpotężniejszemu i najbardziej godnemu uwagi plemieniu Albańczyków. Plemię to, złożone wyłącznie z katolików, dzieli się na pięć bajraków, obejmujących ogółem 1900 rodzin: Dybry (600 rodzin), Ku-

sznieni (110 r.) Oroszi (120), Spoczi (650) i Fani (120). Stolicą Mirdytów jest wieś Oroszi położona nad Fani; jest to zarazem była rezydencja dziedzicznego naczelnika plemienia, tytułowanego *kapetanem*. Obecnie jeszcze żyjący od 23 lat na wygnaniu w Azji Mniejszej Bib Doda utrzymywał kraj swój w porządku, ale, odkąd go opuścił, zapanowała w nim anarchja.

Steinmetz potwierdza zdanie innych podróżników, dowodzących, że Albańczycy są lepsi, niż opinja to głosi, i że obcy może bezpiecznie zwiedzać ich wsie i siola bez straży. Przytaczamy poniżej ustęp wyjęty z jego broszury.

„Przeszedszy wyschle łożysko Kiri, poniżej Muselimi (na północo-wschód od Skutari) szedłem dalej drogą, obramowaną nagłemi wzgórzami. Krajobraz ożywił się dopiero przy dolinie Nerfusza. Szlakiem, wijącym się



„Kula”—chata albańska.

po południowym zboczach potężnych pięter Cukali, wdarliśmy się przez gęszcze krzaków i dębów karłowatych na jego tarasy. W połowie obszaru, położonego na znacznej wysokości i zaludnionego przez plemię Szlahu, obrana przez nas droga pochylać się zaczęła. Dzika przyroda otaczała nas dookoła: strome przepaście, skały i stopy głazów zwietrzałych. Przewodnik mój po pewnym czasie wyznał mi, że zablądził i nie wie, jak mnie ma prowadzić. Postanowiłem sam posuwać się dalej wawozem, do któregośmy weszli, podczas gdy on wdzierał się na jego ściany, by objąć okiem całą okolicę i zorjentować się łatwiej. Słońce zniżało się ku zachodowi. Przy zakręceniu drogi dostrzegłem nagle dwu uzbrojonych i dość tniobu ubranych ludzi, których bogata odzież zdziwiła mnie nieco. Zbliżywszy się do nich, złożyłem im ukłon; obaj odpowiedzieli ukłonem poczym starszy zaczął mnie badać, skąd przychodzę i dokąd zamierzam się udać. Za-

spokoilem jego ciekawość, a wtedy zapytał, czy go znam. Odpowiedziałem przecząco i dowiedziałem się, że mam zaszczyt mówić z Kin Matijem, słynnym rozbójnikiem, o którym mówiono mi w Skutari. Rząd turecki nałożył na głowę jego cenę 200 funtów złota. Nie czułem się zaniepokojony jego obecnością, pomimo, iż zauważyłem w ciągu dalszej z nim rozmowy, że podejrzewa, czy nie jestem Turkiem. Zaufanie, jakie powziąłem do niego, nie zawiodło mnie i zostało nawet nagrodzone, kiedy go bowiem przekonał o bezzasadności jego podejrzeń, zaprosił mnie na noc do sąsiedniej „kula”, utrzymywanej przez jednego z jego przyjaciół. Przyjąłem zaproszenie i po upływie kwadransa siedzieliśmy obaj przed sułym ogniem, przy którym oberżysta gotował dla nas kawę. Nazwę „kula” nosił duży, masywny budynek kamienny, kwadratowy, mieszczący tylko jedną izbę. Wchodziło się po kamiennych, zewnętrznych schodach, prowadzących ku drzwiom, wzniesionym o 4 metry nad ziemią. Miejsca okien zastępowały strzelnice, zrobione w ścianach budynku. Większość domów w Albanji jest w podobny sposób zbudowana z powodu częstych i krwawych zaburzeń w kraju. Właściciele bogatsi wznoszą przy wielkim głównym budynku drugi, znacznie mniejszy, dla kobiet, dzieci, a zarazem dla bydła domowego.

Miałem sposobność przyrzeć się zblizka Kin Matijowi. Można było nazwać go pięknym mężczyzną lat 30-stu. Narodowy strój był mu do twarzy. Dokoła stanu nosił błyszczący pas ładunkowy, dobrze zaopatrzony, a strzelbę zawiesił już na ścianie. Towarzysz jego miał tak dobroduszny wyraz twarzy, że niktby się w nim nie domyślił rozbójnika.

Kin Matija był zbiegłym Skutaryjczykiem; zabiwszy w kłótni dwu Turków, schronił się w góry. Czuł się w nich bezpiecznym, bo żaden ze stróżów prawa nie odważyłby się zapuścić do jego kryjówki. Dla zdobycia pożywienia rozbójnik schodził na równinę skutaryjską i tu wraz z towarzyszem dostawał się do domów mieszkalnych. Rozumie się, że przy takich wyprawach zdarzały się walki między niemi a właścicielami. Policja była nieraz na ich tropie, a wtedy z trudnością udawało im się powrócić w góry. Śród gór nie napadali na nikogo.

Życie ich było pasmem udręczeń i niewygód: przyznali mi się sami, że nader rzadko mieli dach nad głową; nocleg ich odbywał się przeważnie pod gołym niebem. Tam czuli się najbezpieczniejszemi; 200 funtów złota stanowiło pokaźną sumę, na którą ktokolwiek z ubo-

gich mieszkańców okolicznych mógł się polakomić.

Rozmowa skróciła nam znacznie czas oczekiwania na kolację. Podano wieczerzę, po spartańsku skromną, złożoną z sera, kukurydzaego chleba i mleka zsiadłego, rozcieńczonego wodą; poprzedziliśmy to kieliszkiem dobrej i niefalszowanej wódki. Zaraz po kolacji ułożyliśmy się do snu na liściach z paproci, zwyczajem miejscowym złożonych na ziemi. Usnąłem, uradowany przygodą, która pozwoliła mi być u źródła albańsko-zbojceckiego romantyzmu w pierwszym dniu mojej podróży.

O świcie siedzieliśmy znów przed ogniem, zapijając smaczną kawę.

Kin Matija i jego towarzysze pozwolili mi oddfotografować się poczym zacząłem wybierać się w dalszą drogę. Ponieważ w kraju tym nie wolno obrażać pana domu datkiem pieniężnym za doznaną gościnność, wsunąłem go w rękę jednemu z jego dzieci. Gdzieindziej datki za gościnność przyjmują niekiedy kobiety.

Pożegnawszy dwu bezdomnych tułaczów, zaczęliśmy wznosić się na grzbiet Cukali. Było nas trzech teraz, prosiłem bowiem gospodarza, Hil Deda, by nas odprowadził do Duszmani.

Ścieżka, wijąca się stromo między ścianami rozpadliny górskiej prowadziła ku przestrzemi, zarosłej lasem niebotycznych buków. Dalej, za małą przełęczą, droga zaczęła się zniżać ku obszarowi plemienia Duszmani i była tak trudną, że nie mogliśmy odbywać jej inaczej, jak pieszo. Zsiadłem z konia i odesłałem go wraz z przewodnikiem do Skutari, a sam szedłem dalej w towarzystwie Hil Deda. Wąwóz wyprowadził nas niebawem z lasu, między nagie i bezpłodne obszary, wśród których leży wioska Brusza, złożona z pół tuzina domów. Zatrzymaliśmy się dla wypoczynku u przyjaciół mego towarzysza. Pod nazwą wsi w Albanji nie należy rozumieć zbioru ludzkich siedzib, osiadłych na jednym kawałku ziemi, gdyż domy włościan w kraju tym leżą rozrzucone na wielkich przestrzeniach i nieraz znacznie oddalone jedne od drugich.

Wzmocnieni kawą i wódką, wyruszyliśmy dalej. Wypoczynek zabezpieczył nas od trudów dalszej wędrówki. Weszliśmy na terytorjum Duszmani, a że Hil Deda pochodził z wrogiego szczepu, mogło zatym przy spotkaniu miejscowych mieszkańców przyjść łatwo do starcia, co w tym kraju należy do

spraw powszednich. Gościna w jednym z domów tej wioski zapewniła nam, podług praw albańskich, opiekę, przynajmniej na czas, potrzebny dla dojścia do innego domu, w którym ponownie zażyliśmy wypoczynku. Najszlachetniejszym rysem charakteru Albańczyków północnych jest właśnie owa szczerza gościnność, którą ludność południowych okolic tego kraju poszczycić się nie może.

Gdzie spożyłem kawałek chleba, gdzie wypilem kubek kawy lub mleka, otrzymywałem tytuł „przyjaciela” (mik) i wtedy mogłem być pewnym, że w razie wyrządzonej mi krzywdy, po drodze do innej chaty, gospodarz mój nie spocząłby, dopóki by mnie nie pomścił.

Misjonarzom, przebywającym wśród ludności katolickiej, udaje się niekiedy zapobiec krwawemu odwetowi, gdy ofiarą padł ojciec lub brat mściciela; śmierć „przyjaciela” jednak nie może nigdy ująć bezkarnie.

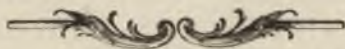


Kanjon w dolinie Drinu.

Ta okoliczność tłoczy bezpieczeństwo mojej osoby podczas wędrówek po zakątkach Albanji, odbywanych stale w towarzystwie jednego tylko przewodnika, wśród dzikiej, pierwotnej ludności.

Każdy napastnik wiedział dobrze, że, stępując mi drogę w celu rabunku lub mordu, naraża się na nieubłagany pościg ze strony ostatniego gospodarza, u którego byłem w gościnie. Ten zwyczaj krwawej zemsty zapobiega swą grozą niejednej zbrodni i grabieży. Jakież stosunki zapanowałyby w kraju, gdzie każdy broń nosi, gdzie niema władz bezpieczeństwa, gdzie każdy rządzi się własnowolnie, gdyby nad mieszkańcami nie wisiała groźba zemsty za spełnione przestępstwo.

N. K.



Rys historyczny rozwoju sztuki żeglarskiej.

napisał

MARJUSZ ZARUSKI,

szturman marynarki handlowej.

(Dokończenie.)

„Admirał” Sierpinek energicznie zajął się kaperstwem: łupił i konfiskował statki nieprzyjacielskie, a często — pod pozorem kontrabandy — i sprzymierzonych Gdańszczan, którzy kaprom królewskim dali schronisko w swym porcie. Gdańszczanie, niezadowoleni z gwałtów Sierpinka, a jeszcze więcej z obawy przed rosnącą nową potęgą na morzu, nieustannie skarżyli kaprów przed królem. Zygmunt August wydał rozkaz Sierpinkowi, ażeby trzymał się zdaleka od portu i wybrzeży Gdańska. Nie uchroniło to wszakże kaprów od tumultu ulicznej gawiedzi, podczas którego schwytano i ścięto wbrew prawu jedenastu z nich. Sam Sierpinek ratował się ucieczką. Tumulty niebawem przemieniły się w otwarty bunt Gdańska. Sejm lubelski w r. 1569 zajął się tą sprawą, została naznaczona komisja śledcza, a rezultatem jej były owe „konstytucje Karnkowskiego”, które wszakże nie weszły nigdy w życie. Zatarg z Gdańskiem skończył się dopiero za Stefana Batorego, który zrzekł się prawa utrzymania floty kaperskiej w swoim i swoich następców imieniu, otrzymał za to według „traktatu o portowym” z r. 1585 podwójne „palo-we” od przychodzących do portu okrętów, w rubrykach skarbowych t zw. „funteol”. Flota kaprów polskich składała się z *pryzów* i *piniek*.

Zygmunt III bardziej z pobudek dynastycznych, aniżeli ze względu na potrzeby państwowe, starał się również o utworzenie floty polskiej. Kończyło się wszakże zawsze na wynajmowaniu okrętów gudoziemskich. W czasie przejazdu np. króla do Szwecji flota królewska składała się z 40 okrętów szwedzkich pod wodzą admirała Fleminga i jednego holenderskiego. Na drogę powrotną Gdańszczanie przysłali 10 swoich statków. Gdy w r. 1598-ym król wyruszył na wyprawę przeciwko stryjowi swemu, Karolowi, flotę jego stanowiły: jeden okręt wojenny, szwedzki, jeden galeon szkocki, cztery pinki i pewna liczba statków przewozowych cudzoziemskich, które przygodnie znajdowały się wtedy w Gdańsku. Przy pomocy też najętych angielskich i holenderskich okrętów hetman Chodkiewicz odniósł nad flotą szwedzką zwy-

cięstwo pod Parnawą w r. 1609-ym. Wynajęte okręty w r. 1627 zwyciężają znowu flotę szwedzką pod Gdańskiem, lecz niebawem połączone floty duńska i szwedzka znoszą doszczętnie flotę polską, zabierając 120 dział i wiele zapasów wojennych. Widzimy więc, że za Zygmunta III floty polskiej — w ścisłym słowa tego znaczeniu — nie było. Nie było nawet stałej floty najmniejszej, jak owa kaperska za czasów Zygmunta Augusta, którą, jeżeli się weźmie w rachubę rozpowszechniony podówczas system najemnictwa w wojnach lądowych, za flotę polską można było uważać.

Nie powiodło się i Władysławowi IV-mu powołać do życia flotę polską na morzu Bałtyckim, chociaż w tym celu wznosił zamki warowne na brzegach morza Wojny i kłęski, jakie kraj nawiedziły za jego panowania, położyły kres najlepszym zamiarom króla. Ze śmiercią Władysława IV w r. 1648-ym znikła bandera polska z morza Bałtyckiego.

W całym tym okresie zmagania się wpływów polskich na morzu Bałtyckim, w szeregu walk, sądów, ścierania się spraw osobistych uderza nas przedewszystkim rozumem politycznym, trzeźwością poglądów i zaparciem się siebie samego — postać Zygmunta Augusta: on pierwszy zrozumiał znaczenie morza dla kraju, którym rządził, i wytknął cele, którym nie sądzono było się ziścić. Następca, jego, po krótkim panowaniu Henryka Walezego, Stefan Batory, jakkolwiek oceniał doniosłość planów swego poprzednika, uwikłany w wojnę północną, nie miał sił do uzyskania przewagi na morzu Bałtyckim i faktycznie kapitulował przed Gdańskiem. Pozostawił on ciekawy dokument, tyczący się prawa pobierania „kaduków” czyli szczątków z rozbitych okrętów, wyrzuconych na brzeg. Według prawa tego — uświęconego zresztą zwyczajem, szczątki okrętów, towary i rzeczy rozbitków przechodziły na własność króla. Było ono widomym niejako symbolem panowania króla nad ziemią. Stefan Batory w liście do miasta Lubeki w tej sprawie pisał co następuje:

„Jeżeli nie jest w mocy ludzkiej odwrócić rozbitcia okrętów, to ciągnąć z tego zyski jest niegodnym. Jeżeli burza nie wszystko nieszczęśliwemu zabrała, dlaczegoż miałibyśmy być okrutniejszymi od wichrów i mór? Ani my, ani nasi poprzednicy niemniej uważaliśmy rozbitków za ludzi, którzy w nieszczęściu większe

do naszej opieki mają prawo. Towary nieprzyjacielskich rozbitków powrócić, a ludzi wolno puścić rozkazaliśmy, bo sądzymy, że w rozbitciu nie byli nam nieprzyjaznymi, ani też szkodliwymi być mogli”.

K O N I E C.



Książki i Czasopisma.

Biblioteka naukowa (dawniej *Samokształcenia*) zawiera w ostatnim numerze 49, pomiędzy innymi, niezmiernie zajmującą pracę p. t. „*Syberja, Ameryka przyszłości*.” Jest to przekład niemieckiego opracowania dzieła Johna F. Fräsera p. t. „*The Real Siberia*”. Tłomacz p. Antoni Krasnowolski wybrał z zajmującego opisu podróży Fräsera wszystko, co ma ogólniejsze znaczenie i zestawił umiejętnie, uwzględniając głównie rolnictwo, handel i przemysł syberyjski. Bogato uposażony od natury kraj, którego Kolumbem i zdobywcą dla Rosji był korsarz nadwołżański, Jermak, od niedawna dopiero, po zbudowaniu kolei syberyjskiej, połączony został ze światem cywilizowanym. Przez kilka wieków leżały odłogiem obszary nieznanne i niebadane, których jedynymi mieszkańcami były Nieliczne dzikie plemiona tubylcze i przysyłani z głębi państwa znękani, rozbieci osadnicy przymusowi. Osadników dobrowolnych było niewiele; niekiedy szedł myśliwy po zdobycz cennych futer, poszukiwacz złota lub awantur, albo kupiec, chcący zysku za jaką bądź cenę. Dziś, gdy kolej żelazna przecięła nieprzebytą tundrę, ułatwiła dostęp do wyborowych pastwisk i podatnych do uprawy obszarów wzmogło się i osadnictwo, które rząd usilnie popiera, nadając rolnikom, przybyłym z Europy, ziemię i wszelkie możliwe ulgi. To też corocznie, w maju tysiące ludzi dążą do tej nowej ziemi obiecanej i tym sposobem od r. 1893—1900 rozparcelowano w Syberji zachodniej 77 tysięcy klm. kwadratowych ziemi państwowej pomiędzy wychodźców. Ale chłop rosyjski, według Fräsera—nie jest materialem na osadnika. „Uprawia kawał ziemi i sieje pszenicę, ale ani myśli o zbiorach plonu. za nim on przejrzeje i nawpół się zmaruże; wtedy żnie go sierpem, a połowa plonu przepada skutkiem deszczu. Gdy wyzyskał kawał ziemi, przechodzi do innego. On nawożeniu nie ma pojęcia. Nie myśli o roku następnym i weale nie ma zamiaru z bogacenia się, jedyną jego ambicją jest, ażeby na ścieżce żywota jaknajmniej się trudzić!”

Przesiedlono go do wspaniałego kraju, któremu potrzeba prawdziwych rolników. Gdy się tacy znajdują, Syberja będzie cały świat zasypywała swymi płodami i na polu rolnictwa odegra w przyszłości pierwszorzędną rolę. Równie świetną przyszłość ma przed sobą hodowla koni, których wypada tu 85 na 100 mieszkańców. Pracują one dobrze i wytrwale, a kosztują bajecznie mało,

Najlepsze konie, których cena w Anglii wynosiłaby 600 rb., w Syberji sprzedają się po 50—70 rb. Hodowla owiec i bydła rogatego, handel futrami, przemysł maślany, eksploatacja lasów, wszystko to oczekuje na ludzi energicznych i przedsiębiorczych, którzy będą umieli wyzyskać świetne warunki miejscowe. Taką jest część zachodnia Syberji, kraina zaś, leżąca na wschód od Bajkału, ma wszelkie prawo do nazwy syberyjskiej Kaliforniji, wskutek obfitości złota. Złotodajne okręgi ciągną się daleko wzdłuż brzegów Leny aż w góry kraju Zabajkalskiego i okolice Mongolji. Do niedawna znajdowało się w Irkucku laboratorium państwowe, przez które przechodzić musiało wszystko złoto z kopalni Syberji wschodniej. W rzeczywistości dochodziła tam tylko połowa, druga ulatniała się bezśladu. W Nerczyńsku, w ślicznej okolicy, nazwanej przez pewnego podróżnika „Szwarzjarją syberyjską”, znajdują się bogate pokłady srebra, a wśród nich 7 więzień i 12 kopalni rządowych, w których pracuje 3—4 tysięcy zesłanych.

Opis urządzeń więziennych zajmuje kilka kartek książki, w drugiej zaś części autor podaje „Obrazki miast”, charakteryzując trafnie i dosadnie ważniejsze środowiska syberyjskie. Mieszkańcy Irkucka np. mają bardzo wysokie mniemanie o swoim mieście. Twierdzą, że są Rosjanami z najnowszymi zdobyciami postępu. Poczynając od jego ekscelencji, aż do ostatniego posługacza hotelowego i dorożkarza, wszyscy przybierają bardzo pewną siebie minę, gdy się pytają: „Nieprawdaz, że Irkuck jest jednym z największych miast, jakie pan kiedykolwiek widział?”

Mieszkańcy Omska są dumni z tego, że w nim gościli dwaj sławni pisarze rosyjscy, Petropawłowski i Dostojewski; ich mieszkania pokazują jako osobliwość. „Dostojewskiego—opowiada autor—biczowano tu dwa razy: raz za to, że się uskarżał na żupę, którą mu podano, a drugi raz, ponieważ spółwzięnia uratował od utonięcia. Ostatnim razem tak go skatowano, że musiano go odwieść napół martwego do szpitala. Gdy go stamtąd wypuszczono, nazwano go „pokojnikiem” (nieboszczykiem) i to nazwisko pozostało mu do śmierci.

W Tomsku połowa miasta składa się albo z milionerów albo z byłych więźniów. Ambicją mieszkańców jest trwonić pieniądze na pijatyki, a żony osypywać perłami i zarzucać futrami.

Miano „Syberyjskiego N. Jorku” nadaje sobie Błagowieszezeńsk, położony nad Amurem najbardziej ożywione miasto we wnętrzu Syberji. Przed 20 laty była to tylko stacja kozacka, dziś liczy blisko 40 tysięcy mieszkańców. Sto mil naokoło tego miasta leżą bogate kopalnie złota, to też utrzymanie tu bardzo drogie, droższe niż w Londynie. Jakkolwiek Błagowieszezeńsk dziś wygląda wesoło, jednak zaszły tu niedawno stra-

szne wypadki, jakich mało podaje historia; dziś jeszcze unosi się nad mieszkańcami jakiś cień; niechętnie o tym mówią i są bardzo zawstyżeni, gdy kto wspomni o tych wypadkach. A było to tak:

Na wiosnę r. 1900 Błagowieszezeńsk liczył ludności chińskiej od 8 do 9 tysięcy. Siedem z największych sklepów miasta należało do chińczyków; pewna ich liczba była też zajęta w drobnym handlu, a większość jako robotnicy. Gdy rozpoczęło się oblężenie poselstw w Pekinie, wtedy w Błagowieszezeńsku, jak wszędzie, mniemano, że wszyscy europejczycy w Pekinie byli wyrznięci. Rosjanie sami nie mogli pójść na pomoc, a z drugiej strony rzeki słyszano bębny i widziano powiewające chorągwie; wtedy nawet kule przelatywały do miasta z tamtej strony rzeki. Jedynym wojskiem rosyjskim w mieście była garstka kozaków, około 60; za mało na wypadek napadu. Tymczasem chińczycy pozostawali w swych domach w zupełnym spokoju. Ale gubernator nie dowierzał temu spokojowi. Wydał rozkaz, żeby wszyscy chińczycy w przeciągu 24 godzin przeszli na stronę mandzurską. Chińczycy oświadczyli swą gotowość, ale prosili o statki do przewiezienia się przez rzekę. Minęła doba. „Dlaczegoście nie poszli za rzekę?” — zapytał się gubernator. „Nie mamy łódek. Daj nam pan łódki, a zaraz przejedziemy.” Odpowiedzią było to, że kozacy otoczyli bagnietami 100 chińczyków. „Naprzód!” — odezwał się głos komendy, a chińczycy, płacząc, błagając, wyruszyli ku rzece. Kozacy otoczyli ich w półkole, a chińczycy biegali w tym zamknięciu, jak stado owiec. „Za rzekę marsz!” — i ostrza bagnietów wepchnęły chińczyków w wodę. Gdy się wszyscy potopili, kozacy powrócili do miasta po inny oddział chińczyków. W tym samym miejscu spotkał ich ten sam los. I tak trwało to przez 2 dni, aż w Błagowieszezeńsku nie zostało ani jednego chińczyka. Wtedy dopiero chińczycy po stronie mandzurskiej odważyli się strzelać do miasta. Rozbito kilka okien, ale nie zraniono ani jednego człowieka; według raportów urzędowych jednak, zabito czterdzieści osób. Nadeszły wojska z Rosji i Syberji zachodniej. Chińczycy umknęli jak wiatr. Ale ich miasta, wsie i zagrody poszły z dymem na 50 mil naokoło a wśród nich i wielkie miasto chińskie Ajgun.

W dalszym ciągu znajdujemy wzmianki o Cziecie, Stretieńsku i Władystoku, który — według autora — przedstawia obraz międzynarodowy. Zamyka książkę „Rzut oka na Mandzurję” i charakterystyka Charbina, „magnesu dla wszystkich awanturników z Rosji.”

A



ROZMAITOSCI.

Tunel pod morzem Śródziemnym. Inżynier francuski Berlier proponuje budowę tunelu pod morzem Śródziemnym, między Hiszpanją a Marokiem, w celu

połączenia koleją żelazną Europy z Afryką. Według projektu Berliera, tunel ten ma być zbudowany niezbyt blisko należącego do Anglii Gibraltaru, lecz od miejscowości Bacqueros wprost do Tangeru. Linja ta ma 32 km długości, a najgłębsze miejsce dna morskiego wynosi 396 m. Ponieważ dno morskie składa się przeważnie z jednostajnego gruntu skalistego, czyli opoki, trudności techniczne będą nieznaczne. Z tunelem połączona będzie od marokańskiej strony droga żelazna długości 591 km, wiodąca przez Maroko. Kolej ta ma prowadzić z Tangeru aż do sieci centralnych kolei algiersko-tunetańskich. W ten sposób stworzona zostanie bezpośrednia droga żelazna aż do Senegalu, otwarty zostanie przystęp do czarnej części świata, czyli Afryki, którą przed stuleciem uważano jeszcze jako ziemię nieznaną.

Berlier oblicza koszty tego tunelu na 123 miliony franków. Z porównania z dawniejszymi budowanymi tunelami okazuje się, jak dalece, wraz z postępem techniki, zmniejszają się także koszty budowy. Jeden metr tunelu pod górą Gotharda kosztował 3800 franków, tunelu arulańskiego już tylko 3600, a simplońskiego 3000 franków; tę samą sumę przyjęto przy obliczaniu kosztów budowy projektowanego tunelu podmorskiego.

Płyn, zabezpieczający strażaków od ognia. Wynałazcą powyższego środka jest E. W. Meyer. Wymarowany tym płynem (antignitem) strażak może bez obawy zbliżyć się do płonącego gmachu, nie odczuwając w zupełności ciepła. Próby z powyższym wynalazkiem robione były w Ostrawie Morawskiej i w Gallieji. Stos desek, kłaków i t. p. dał tak silne gorąco, że w odległości 30 kroków gorąca znieść było niepodobna. Wynalazca posmarował sobie obnażone części ciała antignitem, zbliżył się do gorejącego stosu i przy pomocy sikawki zgasił ogień.

„Zdrowie”.

Palenie tytoniu i młodzieź. Za przykładem Ameryki, gdzie w wielu Stanach wydano surowe zakazy, zabraniające młodzieży palić tytoń, poszła obecnie Anglja. Przedstawiono bowiem Izbie Gmin projekt, którego najważniejszy paragraf, brzmi: „Nikomui, niżej lat szesnastu, nie wolno palić ani żaywać tytoniu w jakiejby formie. Kto przekroczy ten przepis, podlega karze 10 szylingów za każde przewinienie. Zabrania się również pod karą sprzedawać, darowywać lub dostarczać tytoniu młodzieży; przy sprzedaży tytoniu określenie wieku młodzieńca jest obowiązkiem sprzedającego.”

Grób w gmachu Magistratu lubelskiego. Po zerwaniu podłogi w jednym z pokojów biura Magistratu — píše *Gazeta lubelska* — okazało się sklepienie ceglano, po przebicciu którego ukazał się grób, zawierający dwie zbutwiałe trumny. Wnętrze, grobu wytynkowane i wybielone, z namalowanym dużym krzyżem na ścianie północnej i takąż trupią głową na piszczelach, z nieczytelnym od wilgoci monogramem na ścianie wschodniej. Jedną z trumien zasypał gruz przebitego sklepienia i tej nie poruszano; w drugiej zaś trumnie leży nieboszczyk w jedwabnym, długim wzorzystym ubraniu, koloru brązowego, spiętym na małe okrągłe, szmuklerskiej roboty guziczki; jest to zapewne kontusz (strój, jak wi-

domo, przyswojony za Jana Sobieskiego od tatarów). Ciało uległo zupełnemu rozkładowi, a kości zezebrały. Na piersiach nieboszczyka zachował się dobrze szkaplerz, a na nogach żółte buty. Przedmioty te wyjęto z grobu dla przechowania w archiwum Magistratu. *)

Osób, pochowanych w tym grobie, postanowiono nie usuwać, tylko zasypać grób gruzem, co też uskuteczniiono.

Obecność w magistracie grobu jest rzeczą zupełnie naturalną, jeżeli się zważy, że był to kościół Karmelitów bosych, zbudowany r. 1610 i zniszczony pożarem w r. 1803; zatem ruiny kościoła wraz z gmachami poklasztornymi należały do Dobków, od których kupione za rb. 15,000 w latach 1827—1828 na Magistrat przerobione zostały.

Ludzie zamiast lokomotywy.



Japończycy i kulowie chińscy, ciągnący pociąg.

Liczba słuchaczy na uniwersytetach niemieckich. W ubiegłym semestrze letnim ogólna liczba studentów, zapisanych w księgach uniwersytetów niemieckich, wynosiła 39,581 wobec 37,813 z roku ubiegłego. Z tego przypadało 6096 na Berlin, 2818 na Bonn, 1800 na Wrocław, 1581 na Gießen, 775 na Greiswald, 1000 na Kiel, 1018 na Królewiec, 1421 na Marburg 1255 na Münster, na uniwersytety pruskie ogółem 19 544 słuchaczy. Ze wszechnic bawarskich liczył uniwersytet w Erlangen 973, monachijski 4916, w Würzburgu 1322, w Freiburgu 2029, w Heidelbergu 1655 w Tubindze 1581, w Giessen 1093, w Jenie 1024, w Lipsku 3575, w Rostocku 540, w Strasburgu 1299.

Przed dziesięcioma laty liczba ogólna studentów wynosiła tylko 28,105, a więc mniej więcej o 11000 mniej, niż w r. 1904. Z podziału na fakultety notujemy dane ogólne z całego państwa Niemieckiego: studujących prawo jest 11,775, filozofję i historję 8111, medycynę 6063, matematykę i nauki przyrodnicze 5945, teologję ewangelicką 2235, katolicką 1770.

*) Wysoce niewłaściwy sposób kompletowania zbiorów archiwalnych.

Najwyżej położone drogi żelazne w Alpach. Otwarta niedawno stacja dr. żel „Eismeer”, położona na Jungfrau, o 3160 m. nad poziomem morza, zwyciężyła tor kolejowy Gornergratu, uważany dotychczas za najwyższy w Alpach (3000 m. nad p. m.) Po nim następuje kolej żelazna Brieur Rothoru — wzniesiona o 2250 m. Pilatusa 2076, Schynige Plathabahn — 2070 m., Wengeralpbahn—2016 m., Rocher Nayeabahn 1972 m., Schneebergbahn pod Wiedniem 1825, Schafbergbahn w Salzkammergucie 1780 m., obie drogi na Rigi 1750 m.



Jak zostać fotografem?

XI.

Przy sposobności podajemy kalendarzyk fotografa L. Gaumont'a, pomysłowo ułożony i służący do szybkiego orientowania się w ekspozycji. Kalendarzyk ten składa się z 2-ch tablic, sposobu użycia kalendarzyka i przykładów.

L. Gaumont'a

KALENDARZYK FOTOGRAFA.

Współczynniki godzinne wystawienia (ekspozycji.)

Tablica Ia.

GODZINY	Dni				11 połud.	R A N O			
	7	8	9	10		Dni			
Grudzień	21			5 7	3 5	21			
Styczeń	1			4 6	3 5	10	Grudzień		
	10			4 6	3 5	1			
	21			4 6	3 5	21			
Luty	1			5 7	3 5	10	Listopad		
	10			4 6	3 5	1			
	21			3 5	2 4	21			
Marzec	1			5 7	3 5	10	Październik		
	10			4 6	2 4	1			
	20			3 5	2 4	21	Wrzesień		
GODZINY				5	4	3	2	1 połud.	PO POŁUDNIU

Tablica Ib.

GODZINY		6	7	8	9	10—11 połud.	R A N O	
Dni							Dni	
Kwiecień	1		5 7	3 5	2 4	1 3	10	
	10		4 6	2 4	2 4	1 3	1	
	21		3 5	2 4	2 4	1 3	21	
Maj	1	7 9	3 5	2 4	1 3	1 3	1 10	
	10	6 8	2 4	2 4	1 3	1 3	1	
	21	4 6	2 4	2 4	1 3	1 3	21	
Czerwiec	1	4 6	2 4	1 3	1 3	1 3	10	
	10	3 5	2 4	1 3	1 3	1 3	1	
	21	3 5	2 4	1 3	1 3	1 3	21	
GODZINY		6	5	4	3	1—2 połud.	P O P O Ł U D N I U	

Tablica II.

Współczynniki normalnego czasu wystawienia
przyjęte przez kongres za 1 (djafragma f/10).

	Sekundy.
Dalekie widoki bez zieleni, lodowce, skały, odległe widoki z jasną zielenią	0,02
Statki na pełnym morzu, widoki z ciemną zielenią, pomniki białe z planami efekty śnieżne, morze	0,03
Brzegi wielkich jezior	0,04
Krajobrazy w świetle z ciemną zielenią, plan pierwszy ciemny, pomniki o ciemnych barwach	0,06
Nagie wybrzeża rzek	0,05
Krajobrazy z ciemną zielenią na pierwszym planie w cieniu, szczegóły architektoniczne, sceny uliczne	0,09
Obrazy pod drzewami, oświetlone, ciemne wybrzeża rzek, podwórza, ciemne szczegóły architektoniczne	0,25
Zagłębienia skalne, sceny w lesie, dość gęstym, sceny pod drzewami w cieniu	0,5
W lesie bardzo gęstym i t. p.	0,75
Pierwsze plany ciemne, zielone, szczegóły zieleni bliskiej i t. p.	1,9
Grupy i portrety w pełnym świetle (otwartym powietrzu)	0,13
Grupy i portrety w pełnym świetle pod osłoną	0,39
Wnętrza dobrze oświetlone	1,25
„ ciemne	3,75
„ bardzo ciemne	7,50
	i więcej.

Sposób użycia kalendarzyka: Pomnożyć współczynnik godzinny wyst. (tabl. I.) przez współczynnik normalnego czasu wystawienia (tabl. II) przez numer djafragmy, według skali ustanowionej przez kongres fotograficzny, a mianowicie Nr. 0,4 dla djafragmy f/6,3; Nr. 0,5 dla f/7 Nr. 0,6 dla f/8, 1 dla f/10; Nr. 2 dla f/14 Nr. 4 dla f/20 Nr. 8 dla f/40; i 32 dla f/56, otrzymany iloczyn trze-

ba jeszcze pomnożyć przez 2 albo 3 w wypadku, kiedy niebo jest zaciągnięte, a przez 4 lub 6, jeżeli bardzo pochmurne. Przedmioty, w połowie oświetlone światłem słonecznym, a w połowie znajdujące się w cieniu, jak np. ulica, eksponować tak, jak gdyby na wszystko padało światło rozproszone.

Współczynnik godzinny odszukać w tabl. I. podług danego dnia i godziny dla światła rozproszonego lub w słońcu, a współczynnik normalnego czasu w tabl. II. podług danych, jaki przedmiot zdejmujemy, resztę dopełnić z objaśnień.

Uwagi do tablicy I. Liczby w kierunku poziomym, stojące wyżej, stosują się do przedmiotów w słońcu, liczby stojące w rzędzie niższym — do przedmiotów w świetle rozproszonym, ale przy niebie pogodnym.

Przykłady:

Przykład I. Chcemy zdjąć krajobraz w świetle, z ciemną zielenią, plan pierwszy ciemny, dnia 10 maja o godzinie 9 rano, obiektywem z djafragmą f/14 (dla której odpowiada Nr. 2. (podług przyjętej, jak wyżej skali).

Otrzymujemy współczynnik godzinny i współczynnik normalnego czasu wystawienia 0,06, djafragma Nr. 2.

$$1 \times 0,06 \times 2 = 0,12 \text{ sekund.}$$

Przykład II. Zdejmujemy podwórze przy niebie zaciągniętym dnia 24 października o 3 popołud., obiekt z djafragmą f/8. A więc: współcz. czasu normal. wyst. 0,25, djafragma Nr. 0,6, współczynnik godzinny, światło rozproszone 5, niebo zaciągnięte 2

$$0,25 \times 5 \times 0,6 \times 2 = 1,5 \text{ sekund.}$$

Użycie kalendarzyka Gaumont'a jak widziny nie przedstawia trudności, a pomaga wiele w wielu wypadkach, w których ekspozycję określić trudno

(d. c. n.)

Wł. Karoli.

Kronika Esperantyczna.



Biblijografja.— a.) **Wydawnictwa Najnowsze:** Boirac E. *Rektor Univ. w Dijon. Qu'est-ce que l'Esperanto?* Montpellier 1904. — Fournier A. *prof. dr.: Por niaj filoj, kiam ili estos dek-okjaraj.* Esperantigita de d-ro Paul Rodet. Paris. Eldonisto A. Maloine, 25—27, Boulevard St-Germain. 1904. Cena 25 kop. — Sieroszewski Vaclav. *La fundo de l'mizero. Kun permeso de l'Autoro tradukis el la pola lingvo Kabe (dr. Kazimierz Bein).* Paris. Hachette et C-ie. 1904. W 8-ce str. 92. Cena 75 cent.— *i mnóstwo dzieł innych, których z braku miejsca nie cytujemy tym razem.*— **Wydawnictwa Zapowiedziane:** „Biblioteko de l'„Esperantiste”. Kolekto publikigata sub la direkto kaj kontrolo de L. de Beaufront”, i kilka dzieł innych, o których nadmienimy później.— **Uwaga.** Bardzo ciekawy wykaz biblijograficzny różnego rodzaju *podręczników* esperantycznych, dla każdego narodu osobna, rozpoczniemy, w styczniu 1905 roku, a gdy ten wykaz wyczerpie się z czasem, podamy następnie dokładny spis wszystkich dzieł, stanowiących *właściwą literaturę* esperantyczną.

Czasopisma.—Niezależnie od wielu najpoważniejszych pism algijskich, b. gorąco propagujących język Esperanto, powstał jeszcze w tych czasach w Algierze nowy, a nader zajmujący tygodnik literacko-artystyczny p. t. *Turco Revue*, poświęcony niemal wyłącznie propagandzie tegoż języka. Prenumerata jego wynosi 8 franków rocznie z przesyłką do Europy czyli około 3 rb. 20 kop., co, zważywszy, że redakcja zapowiada nadto dla wszystkich swoich abonentów „kilka małych niespodzianek”—jest ceną bardzo umiarkowaną.—Ukazało się, oprócz tego, jeszcze jedno ilustrowane czasopismo francusko-esperantyczne t. j. 38-me już z kolei, którego dokładny tytuł brzmi: *Bulletin de l'Union des Sténographes et des Espérantistes Gapençais. Organe officiel de la Société Gapençaise pour la propagation de la Sténographie Duployé et de la Langue Internationale Esperanto.* Redaktorowie-wydawcy: Léon Disdier i F. Rougny. (m. Gap, we Francji, Boulevard de la Liberté, 33). Jest to bezpłatny organ dla członków powyższego Towarzystwa.

Esperanto w świecie Handlowo-Przemysłowym.—Zawija się we Francji, staraniem redaktorów-wydawców czasopisma: „Lingwo Internacia”, panów: Paul’a Fruictier (literata i publicysty) oraz Paul’a de Lengyel (drukarza), wielkie wydawnicze Towarzystwo Akcyjne pod nazwą: *Preso Esperantista Societo. anonima, je variebila kapitalo*—rokujące pod każdym względem świetne powodzenie materialne. Cena nominalna jednej akcji wynosi dziś zaledwie 25 franków, które nadto mogą być przesyłane w ratach 7-miofrankowych pod adresem p. Paul’a Fruictier (Paris, Boulevard Arago 27). Komu znane są ogromne zasługi dla idei języka Esperanto oraz bezgraniczne dla niej poświęcenie się i energia obu założycieli powyższego Towarzystwa, a przede wszystkim pana Paul’a Fruictier’a—ten, jesteście pewni, nie zawaha się, w miarę swej możności, nabyć jak najwięcej akcji, o których mowa. Ustawę i cyrkularz zawiązującego się Towarzystwa, otrzymać można również od p. Fruicriera, Prof. Liceum Henryka IV i Wyższej Szkoły Nauk Politycznych w Paryżu, d-r Teofil Cart, wygłosił niedawno bardzo gorąco przyjęty przez słuchaczy odezwy o języku Esperanto przy *L’Institut Po-*

pulaire d’Enseignement Commercial.—Wybitna firma fabryczna paryska: L. Gaumont et Cie (Paris, I-e Arr., Rue st.-Roche, 57—59) ogłosiła w języku Esperanto, b. ciekawy, ilustrowany cennik kinematografów i zwykłych aparatów fotograficznych, zawierający 40 stronice druku w 8-ce większej, p. t. *Kontoro Generala de Fotografado. Elliražo el Generala Tarifo.*—Firma S. Guillot et Cie w Dijon Rue Berlier ogłasza, że sprzedaje: *Esperantajn Kasistikvorojn* (paczki (?) esperantycznych likierów). Cena jednego litra na miejscu 1 fr. 75 cent.

„Grupy”, „Kluby”, „Towarzystwa”.—Od chwili ostatecznego ukończenia przez nas wykazu Towarzystw esperantycznych (Ob. Nr. 33 „Naokoło świata”), powstało znów sporo Towarzystw nowych. Ograniczamy się jednak, z braku miejsca na wzmiance tymczasowo o dwóch z nich tylko. I tak: Charenton (Francja)—Prezes Towarzystwa: Ch Devoucoux licencjat prawa. *Sekretarz:* prof. L. Rigoir, Rue des Ormes, 20. *Pomocnica sekretarza:* panna Marie Louise de Brek. *Bibliotekarka:* panna C. Koch. *Nauczycielka* języka Esperanto: panna M. Cart. Większość członków Towarzystwa, składa się z pań.—Gap (Francja) „La Gapa Societo por propagando de la stenografio Duployé kaj de Esperanto” — *Prezes* Towarzystwa: Léon Disdier. *Sekretarz:* M. Vincent. *Siedziba* Towarzystwa: Gap (Hautes-Alpes) Boulevard de la Liberté, 33

Kongres.—Pierwszy na wielką skalę międzynarodowy Kongres esperantyczny który z inicjatywy adwokata Alfreda Michaux uchwalony został na tegorocznych zjazdach esperantycznych i odbędzie się w sierpniu przyszłego roku, w Boulogne sur Mer, we Francji, z osobistym udziałem twórcy języka Esperanto, d-ra Ludwika Zamenhofs. Wiele pierwszorzędnych powag naukowych, europejskich i amerykańskich, również zapowiedziało już swe przybycie. Nazwiska ich ogłosimy w czasie.

Kursa dawniejsze (ciąg dalszy) ob. Nr. 39 „Naokoło świata”. Przedewszystkiem zanotować tu musimy, iż w poprzednim ciągu niniejszego artykułu, opuściliśmy przez nieuwagę wzmiankę podaną w majowym zarysie „L’Esperantiste“ z roku 1902 o kursie prof. d-ra Teofila Cart w Lycée Caumartin, w Paryżu (Rue Caumartin, 65), który ukończywszy kurs niższy przystąpił

Zamówienia z prowincji i Cesarstwa po nadeśtaniu miary

WYKONYWA

Krawiec T. NIEDŹWIEDZKI

Warszawa, Nowy-Świat 37.

Sposób zdjęć a miary dla ubiorów męzkich.

ŠURDUT:

1) Długość stanu (talji) od A do B. 2) Długość od B do C. Miarę surduta lub innego wierzchniego ubrania złączyć od A do C. 3) Połowa szerokości pleców od D do E. 4) Długość rękawa od E, przy podniesieniu zgiętej ręki do łokcia F, od F zaś, nie odejmując miary do końca rękawa G. 5) Całkowita objętość piersi wokoło, wzięta pod pachami na kamizelce, a—b. 6) Całkowita objętość w pasie, wzięta na kamizelce E—F.

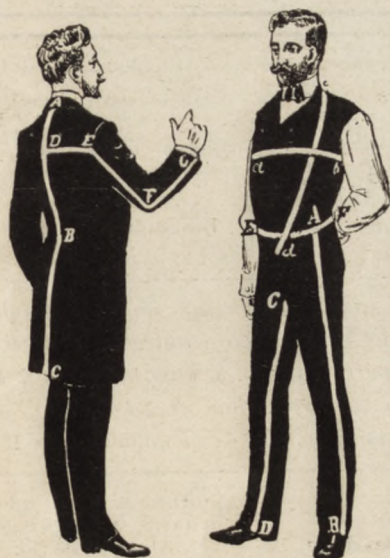
KAMIZELKA:

1) Długość od c, z tyłu od środka szyi, do d. 2) Objętość piersi (a—b) i pasa (E—F).

ŠPODNIE:

1) Długość spodni od biodra (A) po niżej pięty, równo z obcasem (B). 2) Długość od szwu międzykrocza (C) po szwie po niżej pięty, równo z obcasem (D). 3) Całkowita objętość pasa pod kamizelką po koszuli (E—F).

10—3



tamże w kwietniu czy w Maju 1902 r. do wyższego kursu języka Esperanto. W czerwcu też czy w lipcu r. 1902. tenże sam prof. d r Cart, korzystając z dłuższego pobytu swego w Szwajcjarji, urządza kurs języka Esperanto w Lozannie. 21 lipca tegoż roku na zebraniu ogólnem członków rady departamentu Marne radea okręgowy Pechadce stawia wniosek nauczania języka Esperanto w szkołach miejscowych. Wniosek ten zebranie przesyła inspektorowi Akademji w Reims. Na posiedzeniu 27 sierpnia t. r. rada miejska miasta Reims uchwała bezpłatne udzielenie miejscowemu Towarzystwu Esperantycznemu wielkiej sali ratuszowej na jego zebranie tygodniowe, a w jednej ze szkół miejskich udzielenie takiejże sali na wykłady języka Esperanto oraz przyznaje temuż Towarzystwu żadaną subwencję na różne niezbędne wydatki bieżące. 1-go września t. r. gdy prof. Louis Demarest dotychczasowy prezydent Towarzystwa Esperantycznego w Reims, opuszcza to miasto przenosząc się na stanowisko dyrektora wyższej szkoły protestanckiej, francuskiej, w Konakry (Gwinea Francuska—Afryka) korzysta ze sposobności i na wydanej mu uciecie pożegnalnej udziela wielu najpilniejszym uczniom kursu języka Esperanto. ozdolne dyplomy z tak zwanem; „Atesto pri kapableco“ (Świadectwo o uzdolnieniu). Zebrani zaś członkowie Towarzystwa, ofiarowują uroczyście prof. Demarest, jako byłemu

swemu nauczycielowi i prezesowi, kwadratowy medal złoty, wybity na pamiątkę założenia przez niego—Towarzystwa i kursów esperantycznych.

(C. d. n.)

A. B. B.

Sprostowanie W Nr. 41 w art. „Rys historyczny rozwoju sztuki żeglarskiej” w tablicy porównawczej rozmiarów dawnych statków i nowych opuszczono w spisie żaglowców:

	Rok.	Długość w stopach ang.	Szerokość w stopach ang.
„Potosi, statowy pię- masztowy	współcz.	391	50

ZAKŁAD OGRODNICZY
„EMILIA”
MARSZAŁKOWSKA № 68.
Wykonywa najtaniej wieńce, bukiety ślubne, wią-
zanki, dekoracje i t. d. Największy wybór roślin
kwitnących i doniczkowych. 8—2

Mleczarnia Polska
J. DUTKIEWICZ i S-ka
w Warszawie, 12 2

GŁÓWNA:
róg Wilczej i Kruczej Nr. 16.
FILJA:
ulica Krucza Nr. 44.
Telefon 4464

DLA TEGO NAJTANIEJ! dywany, portjery, firanki, serwety, kapy, koldry watowe i pluszowe, chodniki, plusze, gobeliny, burety itp. **ŻE NA 1-em PIĘTRZE** w składzie **Henryka Radeckiego**. Marszałkowska 112, 1-e piętro, przy ulicy Chmielnej

Treść № 12. Na Dalekim Wschodzie, przez *Jozefa Gieyszora* (z rysunkami). — Z wycieczek botanicznych przez *Jadwigę Wodzińską*. — Indje, przez *Piotra Lolięgo*; Homaczył *Józef Jankowski*. — Śród wyżyn Albanji północnej, przez *N. K.* — Rys historyczny rozwoju sztuki żeglarskiej, napisał *Marjusz Zaruski* — Książki i Czasopisma, przez *A. Rozmaitości* (z rysunkiem). — Dla miłośników fotografii, przez *Wł. Karolego*. — Kronika esperantyczna, przez *A. B. B.* — Ogłoszenia.

Treść „Biblijoteki ilustrowanej podróży i powieści.” — Rozbójnik Marko, przez *L. Boussebarda*. Homaczyła *M. Naimska* (str. 165—172). — Tajemnica burzy morskiej, przez *Sylwana Cobba* (str. 137—141)

Warunki przedpłaty Tygodnika „Naokoło Świata”: w Warszawie rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1. Na prowincji i w Cesarstwie rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2.50, kwartalnie rb. 1.25. Za granicą rocznie rb. 6; wraz z „Biblijoteką ilustrowaną podróży i powieści”: w Warszawie rocznie r. 6, półrocznie rb. 3, kwartalnie rb. 1 kop. 50. — Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb. 7 kop. 50, półrocznie rb. 3 kop. 75, kwartalnie rb. 1 kop. 88. — Za granicą rb. 9. — Za odnośnienie do domu 15 kop., kwartalnie. — Zmiana adresu kop. 20 — Cena numeru kop. 10.

Agjentura w Łodzi:
Księgarnia L. Fiszera,
Piotrkowska № 48.

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, ulica Hoża № 52 m. 4, na dole.

Agjentura w Częstochowie:
Księgarnia J. Nowickiego i S-ki.
Aleja II № 43.

Wydawca: Antoni Orłowski.

Za redaktora: Antoni Orłowski.